



25

Fahrenheit

25 lat Fahrenheita - Karolina Kacprzak

Fahrenheit Crew

25 lat Fahrenheita

O matko! Naprawdę? Już 25 lat? Ćwierć wieku? Niemożliwe, ludzie tak długo nie żyją... Jestem w szoku!

Jak to było...? Trzeba nieco odkurzyć wspomnienia... Gienio Dębski wykorzystał kiedyś, nieco później, znany w tamtych czasach slogan: „Najprawdopodobniej najlepszy periodyk sieciowy na świecie”. I nie najprawdopodobniej, tylko na pewno. Bo taki jest Fahrenheit. I tacy są ludzie, którzy go tworzyli i tworzą.

Do Fahrenheita trafiłam za Iką, która trafiła za EuGeniuszem, obie nas do F-ta przywiódł Srebrny Glob. To było jakoś w 2002 roku.

Z miejsca i z uwagi na zamięłowanie do porządku zostałam sekretarzem redakcji – ktoś musiał się poświęcić, żeby chwycić za gardło rozbrykane towarzystwo literatów i naukowców, którzy z definicji mają za nic deadline’y. Przez moje palce i klawiaturę przewalały się co miesiąc tony tekstów, które zapamiętałam redagowałam i korygowałam. Pamiętam swoją rozpacz, kiedy miałam redagować teksty Adama Cebuli – geniusza, który mówił i pisał językiem tak odmiennym od mojego, a pisał tak mądrze i na tak skomplikowane tematy, że nie ogarniałam tego swoim rozumkiem. Coś tam jednak się przebijalo i nawet jeśli niewiele rozumiałam, to zapamiętywałam, a potem mogłam się lansować w niefantastycznym środowisku.

Gienowi co miesiąc udawało się coś, za co powinien dostać medal. Jego wstępniak „451 Fahrenheita” zawsze, ale to zawsze miał 451 wyrazów. Jeśli zaś miewał ich więcej lub mniej – to jedynie moja robota, bo magiczna liczba magiczną liczbą, ale redakcja musiała być porządnie zrobiona.

Przynależność do RedAkcji i realizacja fantastycznych pasji zaowocowała niewspółmiernie do poświęcanego czasu i wysiłku. Niby robiliśmy to za darmo (choć marzeniem wielu z nas było zacząć wreszcie na tym zarabiać, bo czytały nas pokolenia!), to staliśmy się znani, słynni, sławni! Ika wspominała, że na konwentach był stały punkt: spotkanie z redakcją Fahrenheita. A na tych spotkaniach – mimo naszych obaw, że spędzimy godzinę we własnym towarzystwie – pojawiali się ludzie autentycznie zainteresowani tym, co robimy, którzy deklarowali nam swoje teksty, swój czas, chcieli stać się częścią naszej załogi.

Był to też czas, kiedy rosła fala zainteresowania literaturą fantastyczną, i to jeszcze tworzoną przez Polaków. Wydawnictwa chciały naszych recenzji, byliśmy więc zasypywani nowościami wydawniczymi, co niejako przekładało się na zawartość portfela – więcej mamony zostawało na konwentowe piwo. W redakcji wybuchały kłótnie, kto jaki cykl recenzuje, tak głodni nowości byliśmy. Aczkolwiek potem musiałam leniwców poganiać, żeby owe recenzje przysyłali...

W redakcji znaleźli się niesamowici słowotwórcy. „Krótkie portki” – krótkie opowiadania, tzw. shorty, „bookiet” zamiast recenzji, tam – o ile dobrze pamiętam – trafiały recenzje po dedlajnie, czyli takie nie do końca spełniające formułę recenzji, bo pisane na chybcika. No i najsłynniejsza „Zakażona planeta”. Wiecie, skąd się wzięła ta nazwa? To posłuchajcie... Kiedyś, dawno, dawno temu, ktoś przysłał do redakcji swoje wiekopomne dzieło, roilo się w nim od błędów ortograficznych – chyba ów ktoś korzystał z innego edytora niż Word (czerwony wężyk!) albo miał to gdzieś... Nieistotne, ważne, że nazwa chwyciła i że pomysł na wiwisekcję chwycił i tak przez lata, a może i lecia – Fahrenheit

publikował rezultat redakcji na żywca. Byli tacy, co się oburzali, ale byli i tacy, którzy nasze warsztaty wzięli do serca i można potem było ich powieści znaleźć w księgarniach. Był też „Hormono-skop” – tworzyli go Pat O’Gen i Wampir Coleman – ból brzucha ze śmiechu gwarantowany.

Nasze okładki powalały. Młodzi twórcy chętnie oddawali nam (za darmo!) swoje dzieła – dziś rzecz niesłychana. W galeriach w archiwalnych numerach można znaleźć urzekające obrazy.

Wiele mam wspomnień z tych ponad dziesięciu lat w F-cie. Mieszkaliśmy rozsiani po całej Polsce, nie przeszkadzało nam to jednak w spotykaniu się nie tylko na konwentach. Mój dom gościł redakcję nie raz. Raz pojechaliśmy, chyba w lutym, do typowej letniej wczasowej miejsciny. Byliśmy tam sami jedyni. Nie zmarzliśmy, co było wówczas wyczynem, aczkolwiek trzeba było jedno auto odpalać z kabli. Spędziliśmy ze sobą urlop u Packów – Ebola pilnowała, żebyśmy nie potopili się w Bugu. Nie połączyły nas jedynie pasja i wspólna robota, ale też silna przyjaźń.

Co mi zostało z F-ta do dziś?

Ogromna, rzewna wdzięczność dla ludzi, z którymi tworzyłam Fahrenheita. Nie byłabym dziś sobą, gdybym ich nie spotkała.

Adres mailowy, który Mason dla mnie zachomikował, mimo że już go nie używam. Ale wiem, że mogę do tego adresu wrócić – bo mi to Mason obiecał.

Ciepło w sercu, kiedy trafiam na znajome nazwiska na okładkach. Ale takie naprawdę znajome – ludzi, którzy wyrosli pod skrzydłami Fahrenheita, którzy tutaj stawiali pierwsze literackie kroki (nie licząc tych stawianych do szuflady). Magdalena Kozak, Rafał Orkan, Marta Kisiel – to nazwiska z „moich” czasów w F-cie. A tych nazwisk jest więcej.

Przyjaźnie, które przetrwały, mimo że odeszłam z F-ta już dawno.

Redakcje książek – coś, co ukochałam na zawsze.

A dzięki Baronowi, Kiwaczkowi i Masonowi pojęłam, że nigdy, przenigdy nie będę dobrym fotografem. I zapytajcie kiedyś Barona, co jest najlepszym etui dla obiektywów. Będziecie zaskoczeni.

Karolina Kacprzak